

"Moskwa łzom nie wierzy"

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Moi rodzice byli rolnikami. Mieli szesnaście ha ziemi własnej. Dzierżawili jeszcze szesnaście ha. W gospodarstwie było: para koni, cztery świnie, cztery krowy.

Mieszkaliśmy we wsi Wielkie Pole pow. Słonim woj. Nowogródek.

W nocy zbudził mnie łomot do drzwi. Pamiętam, jak tato otworzył.

Do mieszkania weszli: Komisarz NKWD dwóch żołnierzy i dwóch furmanów. Było to 10 II 1940r. Od drzwi krzyczeli: wstawać!

Całą rodzinę ustawili w jednym rogu mieszkania, twarzą do ściany. Powiedzieli, aby się nie ruszać, bo będą strzelać. Było nas pod ścianą osiem osób:

Piotr	Ziębicki	ur	?	ojciec		
Maria	Ziębicka	"	1886	matka		
Maria	"	"	?	córka Piotra i Marii		
Antoni	Ziębicki	"	?	syn	"	"
Stanisław	"	"	1930	"	"	"autor wspomnień"
Zenon	"	"	1930	"	"	"
Marian	"	"	?	"	"	"
Ignac	"	"	?	"	"	"

Ja kątem oka widziałem dobrze co robią w domu.

Komisarz otworzył kufer. W kufrze było ubranie i pudełko z dokumentami takimi jak: akt własności ziemi, kwity opłat za podatek, metryki urodzenia.

Komisarz przeglądnął je i zabrał, a do ojca powiedział: "To już wam nigdy nie będzie potrzebne".

W tym czasie dwaj żołnierze przynieśli sobie ze spiżarni chleb, słoninę, usiedli przy stole i jedli razem z furmanami.

Komisarz rozkazał, że w ciągu pięciu minut mamy się ubrać i wychodzić z domu. Mama zaczęła płakać. Tato powiedział, że

nigdzie nie idzie. Wtedy żołnierz wyszedł z domu, za chwilę wrócił. Miał z sobą powróż z naszej stodoły. Chciał wiązać ojcu ręce.

Mama zaczęła ubierać młodszych braci. Ja sam się ubrałem. Siostra Maria wzięła wiadro, grzebień i jakieś ubranie. Mieliliśmy też siekierkę, wziął ją chyba tato. Wyszliśmy z naszego domu.

Było bardzo zimno - mama płakała, że dzieci zamrzną. Pozwolili się wrócić i wziąć pierzynę.

Wszyscy wsiedliśmy do sań, które czekały przed domem. Zależeli nas na stację Domanowa. Załadowali do wagonu towarowego.

Jeden z żołnierzy wrzucił nam do wagonu dwa bochenki chleba, który zabrali z naszego domu. Wzięli też słoninę, ale nam jej już nie dali.

W wagonie były prycze piętrowe. Na górnych spały dzieci. W kącie wagonu dziura w podłodze jako ubikacja. Pośrodku żelazny piec.

W czasie dłuższych postoi pociągu na stacji dwóch mężczyzn chodziło pod dozorem po drzewo i wodę. Naczynie na wodę trzeba było mieć własne. Teraz zrozumieliśmy jak to dobrze, że Marysia zabrała z domu wiadro.

W wagonie było nas ponad trzydzieści osób. Przez całą drogę dostaliśmy tylko dwa razy po dwa bochenki chleba na rodzinę, obojętnie z ilu osób składała się rodzina. Chleb był spleśniały, suchy. Trzeba było rąbać siekierką.

Po dwóch - trzech tygodniach dojechaliśmy do stacji Chamagorka, cztery stacje przed Archangielskiem.

W Chamagorce dali nas do baraków, tam dostaliśmy zupę i chleba. Pierwszy posiłek od czasu zabrania nas z domu.

Po pięciu dniach w dalszą podróż. Jechaliśmy saniami przez pięć lub sześć dni do leśnego punktu "Kiernasz". Jechaliśmy przez rzekę Dwinę. Na noc zatrzymywaliśmy się w osiedlach. Nocowaliśmy u miejscowej ludności. Spaliśmy na podłodze. W czasie podróży z Chamagorki do leśnego punktu nie dawali nam jeść.

Po sześciu dniach dotarliśmy do leśnego punktu "Kiernasz". Głodni, zmarznięci, brudni, zawszeni.

Zamieszkaliśmy w baraku. Barak był zbudowany z belek drzewa. Szpary między belkami utkane były mchem. Tam gnieździły się pluskwy, karaluchy.

Barak, to długie pomieszczenie podzielone przegrodami z desek na wysokość około dwa metry. Wyglądało to tak, jak zagrody dla świń. W ten sposób każda rodzina miała swój kącik. Do spania sami zrobiliśmy sobie nary.

Obok naszej zagrody w następnej mieszkała siostra Bronisława z mężem./Siostra była w ciąży/

W baraku były dwa piece umieszczone po przeciwnych stronach ściany. Można było w nich palić.

Do leśnego punktu "Kiernasz" przyjechaliśmy wieczorem. Dali nam ciemną gotowaną wodę i nic więcej. Rano zobaczyliśmy w pobliżu jezioro z taką ciemną wodą.

Na śniadanie znów tylko ciepła woda. Po tym śniadaniu spisali nas i przydzielili do pracy w lesie.

W obiad dorośli dostali chochlę wodnistej zupy i pół kilograma chleba ciemnego, gliniastego. Na kolację ciepła woda.

Dzieci dostawały w obiad chochlę zupy i dwadzieścia dkg. chleba. Kolacja z ciepłej wody.

Płacili 75 kopiejek dziennie. Chochla zupy kosztowała 20 kopiejek, a pół kilograma chleba 55 kopiejek.

Tak żyliśmy i pracowaliśmy do końca czerwca 1941r.

Tylko taty już nie było - zmarł z głodu w maju 1941r.

W lipcu 1941r zmniejszyli ilość dozoru, który nas pilnował. Komendant poinformował nas, że możemy zmieniać miejsce pobytu. Otrzymaliśmy na to zezwolenie na piśmie. Brat Antoni miał tymczasowe zaświadczenie i na tej podstawie wyruszyliśmy w drogę do Archangielska.

W Archangielsku czekaliśmy w domu noclegowym na transport do Taszkientu. Ludzi było bardzo dużo, sami Polacy. Z ludźmi z naszej miejscowości straciliśmy tutaj kontakt. Rozjechaliśmy się w różne strony.

Po tygodniu czekania w domu noclegowym przyszło dwóch NKWD-dzistów zabrali nam przepustkę i zaświadczenie tymczasowe.

Zawieźli nas do cegielni w miejscowości Rykasicha.

Pracujemy w cegielni. Mieszkamy w bardzo długim baraku, w ogromnej ciasnocie. Spimy na narach jeden przy drugim jak śledzie w beczce. Pozostaje tylko wąziutkie przejście wzdłuż baraku. Wyżywienie skromne, porcje jak dawniej. Jestem stale głodny. Bardzo dużo ludzi umierało śmiercią głodową i z powodu tyfusu.

Siostra Marysia zachorowała na tyfus i zmarła.

Jest nas już sześćoro.

Pod jesień wywieźli nas do miejscowości Sołza nad rzeką Sołza.

Rzeka ta rozwędla się i opływa wyspę. Na tę wyspę nas zawieźli.

Mieszkaliśmy w baraku, mogliśmy się poruszać po tej wyspie, nawet z przewoźnikiem przepływać rzekę bezpłatnie i iść do wioski lub lasu.

Na wyspie było też więzienie. Teren ogrodzony drutem kolczastym z wieżyczkami strażniczymi. W środku ogrodzenia były budynki. Po terenie obozu czasem chodziły psy wilczury.

Brat Ignac i ja staliśmy przy drutach obozu. Rozmawialiśmy. Podeszedł więzień do drutów, zapytał po polsku skąd jesteście i ile nas jest. Zdążyliśmy odpowiedzieć, z wieżyczki padł strzał, mężczyzna który z nami rozmawiał został zabity.

Pamiętam - więzień ten miał na sobie zielony szalik, taki jak mają w wojsku.

Innym razem widziałem też grupę więźniów na terenie obozu jak siedzieli w kucki. Jeden z nich stał skulony jak gdyby go coś bolało. Strażnik strzelił i zabił więźnia.

Na wyspie pracowałem przy wyciąganiu kłoców drzewa z morza Białego. Praca ta była ponad moje siły, dlatego dali mnie do pracy w suszarni. Tam rąbałem drzewo na małe klocki, ~~z~~ składałem. Była to praca lekka i w suszarni było ciepło.

Bardzo ~~był~~ byliśmy głodni. Mój brat Ignac z kolegą Henrykiem Walasikiem znaleźli gdzieś rybę i zjedli. Wkrótce obaj zmarli. Ryba podobno była zatruta.

Naczelnik kazał zrobić skrzynie i w tych skrzyniach zostali

pochowani na wyspie. Było wyznaczone miejsce, gdzie grzebano zmarłych.

Po śmierci brata często chodziłem na ten cmentarz. Widziałem świeżo przekopywany piasek, znak, że ktoś był pochowany, ale nigdy nie widziałem, aby chowano kogoś w dzień.

Braz Antoni w 1943r został zabrany do Armi Berlinga. Zostaliśmy z mamą - braź Zenek, Marian i ja.

Ludzie starali się stąd wyjechać, był głód. Myśmy też wyjechali do Archangielska.

Zatrzymaliśmy się u p. Byczek znajomej z naszej wsi Wielkie Pole. Byliśmy tam przez dwa tygodnie. Poznaliśmy Polkę p. Zbrożkową, która zajmowała się udzielaniem pomocy Polakom. Pomogła nam w otrzymaniu mieszkania.

Zamieszkaliśmy w Archangielsku przy ul. Leningradzkiej za rogiem, były magazyny kapusty, ziemniaków.

Była to jedna mała izba - rudera ze spróchniałą podłogą. Mama pracowała w magazynie ziemniaków, była stróżem.

Z Urzędu Patriotów Polskich dostaliśmy pomoc: ubranie, amerykańskie konserwy rybne.

Pracował tam p. Białas podobno Polak, ale nie mówił po polsku.

Urząd Patriotów Polskich zabierał również polskie dzieci do domów dziecka. Mama oddała Zenka. Pojechał do domu dziecka w okolicy Moskwy. Zostałem z mamą i bratem Marianem.

W zimie w 1944r na ul. Leningradzkiej w Archangielsku widziałem ^{na} za zaułku owocowo-warzywnym leżały zwłoki twarzą do ziemi. Myślę, że była to kobieta, miała długie włosy, na sobie tylko poszarpaną bluzkę. Pośladki miała poobcinane.

Tego zapomnieć nie można!

Mimo upływu czasu, ale również nie mogę zapomnieć słów komendanta Daniłowicza.

Pracowaliśmy wtedy w leśnym punkcie "Leśny ugorek". Daniłowicz zrobił zebranie, na którym powiedział, że nie wyrabiamy normy. Głos zabrał p. Król z naszej wsi Wielkie Pole. Powiedział: "Jesteśmy głodni - ludzie umierają z głodu".

Na to komendant Daniłowicz odpowiedział: "My mamy rozkaz od władz wyższych, aby was karmić nie chlebem, ale ruskim duchem, a wasza Polska, to tam za jeziorem". Był tam cmentarz Polaków.

Kobiety zaczęły płakać. Komendant Daniłowicz powiedział: "Moskwa łzom nie wieźzy".

Na ul. Leningradzkiej w Archangielsku mieszkaliśmy do 20 V 1944r. Nas Polaków zabrali i zawieźli do Saratowa.

Jechaliśmy pociągiem towarowym, ale tym razem nie było dziury w podłodze. Było to dla nas dodatkowe utrudnienie.

Podróż trwała trzy tygodnie. Pociąg często stawał na stacjach dość długo. W czasie dłuższego postoju na stacji szliśmy do ubikacji. Było to niewygodne, ludzi było przecież bardzo dużo.

Na krótkich postojach na stacjach załatwialiśmy się na to-
rach przy pociągu.

Na stacji Konosza załatwiał się przy wagonie Polak Lenkiewicz. Pociąg ruszył. Lenkiewicz zginął. Zwłoki zaraz zabrali.

Na drugi dzień był pogrzeb. Poszliśmy wszyscy. Polacy szli z krzyżem, nieśli trumnę ze zwłokami Lenkiewicza, na cmentarz. Na pogrzebie było dwóch polskich żołnierzy.

Po pogrzebie wróciliśmy do pociągu. Rano odjechaliśmy. Nie wiem kto to zrobił, ale widziałem polską flagę wywieszoną z pociągu.

W czasie podróży dawali nam jeden raz dziennie zupę i pół kilograma chleba.

Polscy Żydzi jechali z nami, z tym że oni zostali w Saratowie. My czekaliśmy na stacji w Saratowie dwie doby. Wreszcie przyjechały furmanki i porozwoziły nas do sowchozów. Nas dali do: obkaść Saratowska, rejon Krasno-Kucki, osiedle Polana, sowchoz Doliński.

Umieścili nas w domku. Mieliśmy trzy pokoje, było czysto. Przydział jedzenia skromny, nadal jesteśmy głodni.

Pracowaliśmy w sowchozie. Ja przy pracach polowych. Później pasłem krowy 140sztuk. Krów pilnowaliśmy z kolegą. Za stadem jeździliśmy na koniach. Woziłem też wodę do świniarni.

Zarabiałem 115 rubli miesięcznie. Wypłacano nam tylko połowę, co starczało na wykupienie przydzielonej żywności.

Drugą część pensji dawali nam w obligacjach, które miały być ważne przez 70-siąt lat. Ludzie obligacje brali, ale zaraz je wyrzucali.

Mama pracowała w sowchozie, była stróżem. Brat Marian nie pracował, był mały.

Zboże z sowchozu kradłem nocą. Chowałem za bluzę. Zresztą nie tylko ja kradłem. Wszyscy kradli. Byliśmy ciągle głodni.

Mieliśmy prowizoryczną stępe. W niej zgniataliśmy zboże na kaszę. Mama tę kaszę gotowała na wodzie, bez soli i to był nasz dodatkowy posiłek.

Dobrze było pracować w świniarni. Można było tam kraść makuch z lnu, rzepaku, słonecznika. To jadło się na sucho. Makuch ze słonecznika był bardzo kłujący, trudno było jeść.

W tym sowchozie słyszałem rozmowę, że Polak zbuntował się i nie chciał wykonać jakiegoś polecenia. Na to kierownik sowchozu: "Jak ci się nie podoba władza radziecka, to powiedz. Dostaniesz dziewięć gram ołowiu".

Na wiosnę 1946r rozeszły się wiadomości wśród Polaków, że będziemy wracać do Polski.

Po tej nieoficjalnej wiadomości przyjechała komisja z Związku Patriotów Polskich i spisano nas na wyjazd.

W dniu 7 IV 1946r wyjechaliśmy do Polski ze stacji Mokraus. Tak samo w bydłych wagonach z pryczami. W czasie podróży dostawaliśmy zupę i chleb.

Wracałem w zniszczonej kufajce podpasany powrozem, bez koszuli, spodnie "waciane" obdarte, na nogach walonki.

W Brześciu nad Bugiem w do wagonu weszli żołnierze radziecy. ^{Sprwdzili} ~~Spisali~~ nasze tobołki. Wzięli dokumenty z adnotacją w języku rosyjskim. Wyszli, a wagony ponownie zamknęli.

W Terespolu otworzono wagony. Dostaliśmy ubrania. Ja dostałem koszulę i angielską bluzę.

Łachmany w których przyjechaliśmy zaraz na stacji spalono.

Dostaliśmy również konserwy i chleb.

W punkcie repatriacyjnym w Poznaniu dostaliśmy jeszcze ubrania.

W Dębie Lubuskim byliśmy ~~18~~ 19 V 1946r.

Znaleźliśmy puste mieszkanie, zamieszkałem z mamą i bratem Marianem.

Z resztą rodziny, która ocalała zobaczyłem się w 1947r.

W tułaczce tej od 10 II 1940r zginęli:

- + Tato Zmarł z głodu w leśnym punkcie "Kiernasz w maju 1941r
- + Siostra Maria Zachorowała na tyfus zmarła w czerwcu 1941r w miejscowości Rykasicha.
- + Brat Ignac Najmłodszy w rodzinie zjadł zatrutą rybę zmarł w 1942r w miejscowości Sołza.
- + Brat Antoni Poszedł do Armi Berlinga - zginął w okolicy Piły.

Dopisek

Mój brat Stefan najstarszy w rodzinie mieszkał ze swoją żoną Anielą i dwoma córeczkami również w Wielkim Polu. Został wywieziony także 10 II 1940r razem z nami. Jechaliśmy na zesłanie jednym transportem. Na stacji Chamagorka rozdzielili nas. Brata z rodziną dali do innego leśnego punktu.

Aniela, żona brata Stefana zmarła z głodu w 1942r Po jej zgonie brat dwie córeczki /pięć i dwuletnia/ oddał do domu dziecka rosyjskiego. Sam poszedł do Armi Berlinga.

Po zakończeniu wojny brat Stefan wrócił, a swoje córeczki odnalazł w domu dziecka w Gostyminie. Był tam również nasz brat Zenek. Wrócili razem do domu.

Moje nazwisko jest Ziembicki. Na zesłaniu zmienili na nazwisko Ziembicki i tak już pozostało.

Za zgodność *Ziembicki Stanisław*

Stanisław Ziembicki

58-340 Głuszycza

ul. Pomorska 4/2

Głuszycza 25 III 1990r

Wspomnienia spisała

Czesława Tarnawska
Czesława Tarnawska

Pan Ziembicki prosił, aby jego wspomnienia ukazały się w druku.

Tarnawska
Tarnawska